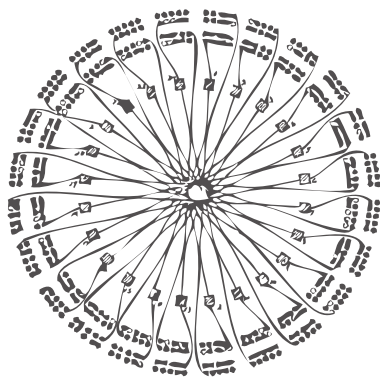


Graham Moore

OSTATNIE DNI MROKU

Przełożyła Nina Dzierżawska



Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału
The Last Days of Night

Copyright © 2016 by Four In Hand Inc.

© Wydawnictwo WAM, 2017

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka

Redakcja: Lidia Kośka

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki i ilustracje: Marcin Wierchowski

Ilustracje zamieszczone w książce powstały
na podstawie rysunków patentowych Nikoli Tesli

Skład: Alicja Marciniak-Nowak

ISBN 978-83-277-1506-7

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: READ ME • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK White 70 g wol. 1.6
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

*Mojemu dziadkowi, dr. Charliemu Steinerowi,
który nauczył mnie uwielbienia dla nauki podczas wycieczki
do Bell Laboratories, kiedy miałem dziewięć lat.
Dziadek jest dla mnie wzorem inteligencji, dobroci
i przyzwoitości. Dzień po dniu staram się mu dorównać.*

CZĘŚĆ I

Próby

*Nie rozumiecie, że Steve nie wie nic o technologii?
To po prostu wybitny handlowiec... Nie zna się
na inżynierii, a dziewięćdziesiąt dziewięć procent
z tego, co mówi i myśli, to nieprawda.*

BILL GATES

Ludzie nie wiedzą, czego chcą, dopóki im się tego nie pokaże.

STEVE JOBS

ROZDZIAŁ 1

Ostatnie dni mroku

11 maja 1888 roku

W dniu, kiedy miał po raz pierwszy spotkać Thomasa Edisona, Paul zobaczył, jak na niebie nad Broadwayem płonie człowiek.

Stało się to w piątek późnym przedpołudniem. Paul wyszedł ze swojego biurowca na zatłoczoną ulicę, na której zaczynał się już przedobiedni ruch. Na tle spieszących przed siebie przechodniów mężczyzna sprawiał imponujące wrażenie: sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, szerokie ramiona, gładko ogolona twarz, starannie dobrany czarny płaszcz, kamizelka i długi krawat, słowem wszystko, czego należy się spodziewać u młodego nowojorskiego profesjonalisty. Na jego głowie, uczesanej z równiutkim przedziałkiem po lewej stronie, niedawno zaczęły się zaznaczać zakola, a włosy nad czołem, w jego środkowej części, tworzyły łagodny trójkącik. Patrząc na Paula, trudno byłoby się domyślić, że ma zaledwie dwadzieścia sześć lat.

Dołączając do cizby sunącej wzdłuż Broadwayu, Paul kątem oka zauważył stojącego na drabinie młodego człowieka w uniformie Western Union. Robotnik majstrował przy przewodach elektrycznych, grubych czarnych kablach, które niedawno zaczęły przecinać niebo nad miastem. Krzyżowały się z cieńszymi, starszymi drutami telegraficznymi, a wiosenny wiatr spletał jedno i drugie w bezładny węzeł. Robotnik z Western Union usiłował rozdzielić

przewody. Przypominał dziecko biedzące się nad kłębem gigantycznych sznurówek.

Myśli Paula krążyły wokół kawy. Był wciąż nowy w dzielnicy finansowej, nowy w kancelarii prawniczej, mieszczącej się na trzecim piętrze budynku przy ulicy Broadway pod numerem 346. Nie zdecydował jeszcze, którą z pobliskich kawiarni woli. Jedna była położona bardziej na północ, przy ulicy Walker. Druga, z powolniejszą obsługą, za to modniejsza, znajdowała się przy Baxter i na drzwiach miała koguta. Paul był zmęczony. Świeże powietrze przyjemnie chłodziło mu policzki. To było jego pierwsze wyjście na zewnątrz tego dnia. Ubiegłą noc spędził w biurze.

Kiedy zauważył pierwszą iskrę, nie od razu zdał sobie sprawę, co się dzieje. Robotnik chwycił za przewód i szarpnął. Paul usłyszał trzask – po prostu krótki, dziwny trzask – a młody człowiek drgnął. Gdy będzie już po wszystkim, Paul przypomni sobie, że zobaczył także błysk, wtedy jednak nie wiedział, co to oznacza. Robotnik wyciągnął rękę, szukając czegoś, na czym mógłby się oprzeć, i wolną dłonią złapał za inny drut. Na tym, jak z czasem miał zrozumieć Paul, polegał jego błąd. Mężczyzna utworzył połączenie. Stał się żywym przewodnikiem.

I to w tym momencie obie ręce robotnika podskoczyły gwałtownie, strzelając pomarańczowymi iskrami.

Tamtego przedpołudnia na ulicy musiało tłoczyć się ze dwieście osób. Nagle wszystkie głowy odwróciły się w tę samą stronę jak na komendę. Finansiści paradujący w swoich cylindrach z szerokimi rondami; asystenci maklerów giełdowych, pędzący na Wall Street z poufnymi wiadomościami w garści; sekretarki w zielononiebieskich spódnicach i dopasowanych żakietach; księgowi polujący na kanapki; damy w sukniach od Douceta, przybyłe tutaj z placu Waszyngtona; miejscowi politycy niemogący się doczekać

kaczki na obiad; gromada koni ciągnących dorożki na grubych kołach po nierównym bruku. Pod tymi ulicami wzbierała fortuna, o jakiej nie słyszał dotąd świat. W porannej gazecie Paul przeczytał, że majątek Johna Jacoba Astora oficjalnie przekroczył wartość tego, czym dysponowała królowa angielska.

Wszystkie oczy skierowały się na człowieka w powietrzu. Z jego ust wystrzelił niebieski płomień. Od płomienia zajęły się włosy. Ubranie spłonęło w jednej chwili. Mężczyzna upadł do przodu, wciąż zaciskając ręce na przewodach. Jego stopy ześlizgnęły się z drabiny i zadyndały w powietrzu. Ramiona się rozkrzyżowały. Błękitny płomień buchał mu z ust, topiąc skórę na kościach.

Nikt jeszcze nie krzyknął. Paul wciąż nie był pewny, na co patrzy. Widował wcześniej brutalne sceny. Wychował się na farmie w Tennessee. Nad rzeką Cumberland śmierć i umieranie nie zaliczały się do niezwykłych widoków. Jednak czegoś podobnego Paul nie widział nigdy dotąd.

Po kilku sekundach, które zdawały się trwać całą wieczność, kiedy już krew robotnika połała się na stojących pod nim nastoletnich gazeciarzy, rozległy się pierwsze krzyki. Tłum rzucił się do panicznej ucieczki. Dorośli mężczyźni przewracali na ziemię kobiety. Gazeciarze biegli poprzez ciżbę, nie kierując się w żadną konkretną stronę; po prostu gnali przed siebie. Usiłowali wyciągnąć z włosów kawałki zwęglonej skóry.

Konie stawały dęba, zadzierając przednie nogi pod niebo. Kopyta pofrunęły ku twarzom spanikowanych właścicieli wierzchowców. Paul stał jak wryty do momentu, gdy zobaczył, jak mały gazeciarz przewraca się prosto pod dwukonny powóz. Ogiery szarpnęły, rwąc się naprzód i ciągnąc koła powozu w stronę piersi chłopca. Paul nie miał świadomości, że podejmuje decyzję,

by skoczyć – po prostu to zrobił. Chwycił chłopca za ramię i ściągnął go z drogi.

Rękawem płaszcza wytarł błoto i krew z twarzy dzieciaka. Zanim jednak zdążył sprawdzić, czy chłopak nie jest ranny, ten na powrót zniknął w tłumie.

Paul oparł się o najbliższy słup telegraficzny i usiadł na ziemi. Żołądek podszedł mu do gardła. Mężczyzna zdał sobie sprawę, że ciężko dyszy, i spróbował uspokoić oddech, nie wstając z błota.

Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim brzęczenie dzwonek oznajmiło przybycie straży pożarnej. Wóz strażacki ciągnięty przez trzy konie zatrzymał się przed ponurą sceną. Sześciu strażaków w mundurach z czarnymi guzikami podniosło ku niebu niedowierzające spojrzenia. Jeden instynktownie sięgnął po sikawkę parową, ale reszta po prostu patrzyła z przerażeniem w górę. Nie przypominało to żadnego pożaru, jakiego kiedykolwiek byli świadkami. To była elektryczność. A mroczny cud błyskawicy, będącej dziełem człowieka, zdawał się równie tajemniczy i niepojęty jak starotestamentowe plagi.

Paul siedział jak sparaliżowany przez czterdzieści pięć minut, bo tyle zajęło strwożonym strażakom odcięcie szerniałego ciała. Chłonał każdy najdrobniejszy szczegół tego, co rozgrywało się przed jego oczami; nie po to, by zapamiętać, lecz by zapomnieć.

Paul był prawnikiem. A niedługa dotychczas kariera w tym zawodzie tak właśnie wpłynęła na jego umysł. Znajdował pociechę w detalach. Jego śmiertelne lęki mogły zostać uśmierzone jedynie za pomocą encyklopedycznej znajomości szczegółów.

Paul był zawodowym twórcą opowieści. Opowiadał zwięzłe historie. Jego praca polegała na braniu serii oderwanych zdarzeń, pozbawianiu ich zanieczyszczeń i ukazywaniu jako ciągu przyczynowo-skutkowego. Odrębne obrazy z tego przedpołudnia –

rutynowe zadanie, błąd wynikający z nieuwagi, rozpaczliwie wyciągnięta ręka, zatłoczona ulica, iskra, zbryzgany krwią chłopiec, ociekające zwłoki – da się złożyć w opowieść. Będzie w niej początek, środek i koniec. Historie prowadzą do wniosków, a potem znikają. Na tym polega ich magia, której tak rozpaczliwie potrzebujemy. Historię o tym dniu, gdy już Paul opowie ją sobie w myślach, będzie można zapakować, odłożyć na bok i przypominać sobie tylko wtedy, gdy okaże się to konieczne. Odpowiednio skomponowana relacja będzie strzegła jego myśli przed grozą samego wspomnienia.

Paul zdawał sobie sprawę, że nawet prawdziwa historia jest fikcją. Środkiem uspokajającym, którego używamy, by zorganizować chaotyczny świat wokół nas w coś zrozumiałego. Maszyną poznawczą oddzielającą ziarno emocji od plew sensacji. Prawdziwy świat jest przeładowany wypadkami, jedno zdarzenie goni drugie. W swoich opowieściach odsiewamy większość z nich, dopóki nie pojawią się jasne powody i motywacje. Każda historia to wynalazek, wytwór techniki, wcale nie tak bardzo odległy od tego, który dziś rano spalił skórę człowieka żywym ogniem. Dobrą opowieść można jednak wykorzystać w niebezpiecznym celu.

Historie, które opowiadał Paul jako prawnik, miały charakter moralizatorski. Istnieli w nich tylko pokrzywdzeni i złoczyńcy. Zniesławieni i oszczercy. Oszukani i złodzieje. Paul starannie budował te postaci, dopóki słuszność reprezentowanej przez niego strony skarżącej – bądź też pozwanej – nie stała się oczywista. Rolą prawnika nie było ustalenie faktów; jego zadanie polegało na stworzeniu na ich podstawie opowieści, z której w sposób nieunikniony wynikał jasny morał. Do tego służyły historie Paula: do przedstawienia niepodważalnego obrazu świata. Następnie

zaś, gdy już świat został dzięki nim zorganizowany, a honorarium uczciwie zarobione, miały zniknąć. Odważny początek, ekscytujące rozwinięcie, satysfakcjonujące zakończenie, może jeszcze ostatni zwrot akcji, a potem... już ich nie ma. Skatalogowane i zapakowane, leżą bezpiecznie w sejfie.

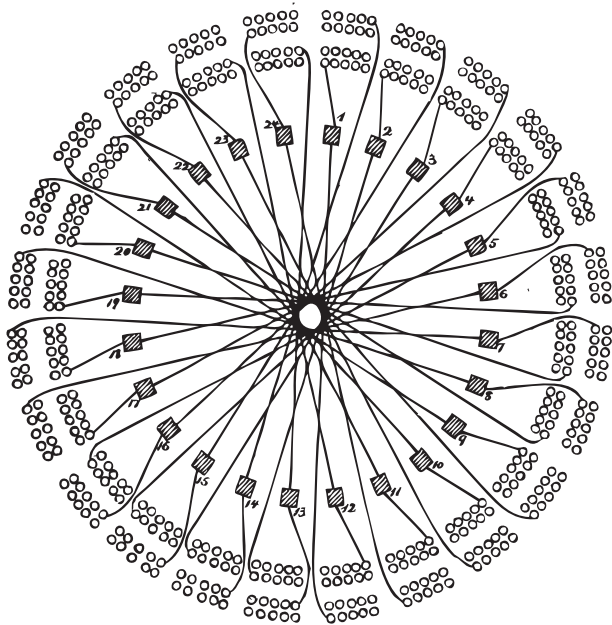
Wystarczy, że Paul opowie sobie dzisiejszą historię, a ona zniknie. Musi tylko odpowiednią ilość razy wrócić myślą do tych obrazów. Ocalenie przez powtarzanie.

Jak się jednak okazało, płonące ciało nad Broadwayem było dopiero na drugim miejscu wśród najbardziej przerażających rzeczy, które Paul Cravath miał zobaczyć tego dnia.

Kilka godzin później – kiedy już jego sekretarka wyszła do swojego mieszkania w Yorkville, a starsi współpracownicy udali się do trzypiętrowych apartamentów na Piątej Alei i na długo po tym, jak Paulowi nie udało się skończyć pracy i wrócić do kawalerki na Pięćdziesiątej Ulicy, poczynił za to tyle notatek swoim wiecznym piórem marki Waterman, że na środkowym palcu zrobił mu się pęcherz – pod drzwiami jego gabinetu zjawił się goniec. Przyniósł telegram.

„Proszę stawić się u mnie niezwłocznie”, brzmiała wiadomość. „Mamy wiele do omówienia. Wymagana absolutna dyskrecja”.

Telegram był podpisany „T. Edison”.



Nikola Tesla

*Do licha, tutaj nie ma żadnych zasad –
my tu próbujemy coś osiągnąć.*

THOMAS EDISON, „Haper’s Magazine”,
wrzesień 1932 roku

Rozdział 2

Czarnoksiężnik z Menlo Park

Paul narzucił na siebie marynarkę i poprawił krawat, po czym ruszył do drzwi. Od blisko pół roku był zaangażowany w sprawę przeciwko Thomasowi Edisonowi, ale wciąż nie poznał najsłynniejszego wynalazcy na świecie.

Edison musiał usłyszeć o wypadku. Człowiek zabity przez elektryczność na ulicy, na oczach całego miasta. Wynalazca z pewnością przygotowuje jakiś komentarz. Tylko czego może chcieć od Paula?

Przed wyjściem z biura prawnik wyjął z szuflady teczkę. Część dokumentów umieścił w wewnętrznej kieszeni swojego wełnianego płaszcza. Cokolwiek planował Edison, Paul będzie miał dla niego własną niespodziankę.

O tak późnej porze na Broadwayu było ciemno. Nieliczne latarnie gazowe oświetlające ulicę rzucały na bruk słaby żółtawy poblask. Tylko jeden punkt błyszczał w oddali. Położona na południu Wall Street była przyczółkiem jasnego światła elektrycznego na spowitym dymem, skąpo oświetlonym Manhattanie.

Paul zwrócił się ku mrocznej północy i szybko przywołał dorożkę. – Piąta Aleja, numer sześćdziesiąt pięć – rzucił do dorożkarza. Choć słynne laboratoria Edison General Electric Company nadal mieściły się w New Jersey, to centrala firmy przeniosła się pod znacznie modniejszy adres.

Mężczyzna odwrócił się i spojrział na Paula.

– Jedzie pan spotkać się z Czarnoksiężnikiem?

– Wątpię, żeby matka tak się do niego zwracała.

– Jego matka zmarła dawno temu – odparł dorożkarz. – Nie słyszał pan?

Siła otaczającej Edisona legendy nie przestawała zadziwiać Paula. W ciągu niecałych dziesięciu lat życia publicznego wynalazca zdołał wykreować się na współczesnego Johnny'ego Appleseeda. Młodego prawnika doprowadzało to do pasji, choć zrazem musiał przyznać, że Edison dokonał nie lada sztuki.

– To tylko człowiek – zauważył Paul. – Niezależnie od tego, co pisze o nim „The Sun”.

– On robi cuda. Błyskawica w butelce. Głosy w miedzianym drucie. Jaki człowiek potrafi pokazać coś takiego?

– Bogaty.

Konie wiozły ich przez Broadway, cichą ulicę Houston i wzdłuż rzędu wytwornych domów przy Czternastej Ulicy. Wyspa była pogrążona w mroku do chwili, gdy skręcili w Piątą Aleję. Ich oczom nagle ukazał się blask rozjaśniających ją lamp elektrycznych. Większość ulic w Nowym Jorku była oświetlana gazem węglowym, tym samym migotliwym światłem, które płonęło w mieście od stu lat. Ostatnio jednak kilku zamożnych przedsiębiorców wyposażyło swoje budynki w nowe żarówki elektryczne. Zaledwie garść ulic mieściła w sobie jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent elektryczności w Ameryce, a ich nazwy były znane każdemu: Wall Street, Madison Avenue, Czternasta Ulica. Z dnia na dzień robiło się tam coraz jaśniej, w miarę jak w kolejnych budynkach zakładano kable i podłączano prąd. Napięte druty z każdego bloku czyniły fortecę. Paul patrzył na Piątą Aleję i widział postęp.

Jeśli jednak mu się powiedzie, będzie świadkiem upadku jaśniejszego imperium Edisona.

Paul wszedł pod numer sześćdziesiąty piąty przy Piątej Alei o jedenastej wieczorem. Potężni mężczyźni za szybą nosili broń bez ostentacji. Nie było potrzeby popisywać się wojowniczością. Tylko ktoś bardzo głupi mógłby wkroczyć do tego budynku bez lęku.

Przy głównej klatce schodowej czekał na Paula brodaty człowiek w średnim wieku. Nie uśmiechając się, wyciągnął rękę.

– Charles Batchelor.

– Wiem, kim pan jest – odparł prawnik.

Batchelor był prawą ręką Edisona: szefem jego laboratorium, a także naczelnym zbiorem. Jeśli Edison chciał wywlec brudy na czyjś temat, to Batchelor się tym zajmował. Fama głosiła, że ci dwaj są nierozłączni. Jednak w odróżnieniu od swojego chlebobdawcy Batchelor nie udzielał wywiadów. Jego postać nigdy nie pojawiała się u boku Edisona na pierwszych stronach gazet.

– Czeka na pana – oznajmił lakonicznie i ruszył po schodach w górę. Prywatny gabinet Edisona znajdował się na trzecim piętrze. Batchelor otworzył podwójne dębowe drzwi i gestem zaprosił Paula do środka, po czym w milczeniu stanął przy wejściu. Miało się wrażenie, że staje się niewidzialny aż do chwili, gdy otrzyma kolejne polecenia.

Gabinet był bogato zdobiony. Fotele obite hiszpańską skórą. Oszklone mahoniowe biurko, na którym stały rozmaite elektryczne przyrządy. Wciśnięte w przeciwległy kąt pokoju łóżko polowe. Wieść niosła, że wynalazca sypia trzy godziny na dobę. Tak jak w przypadku większości pogłosek na temat Thomasa Edisona, prawnik nie był pewny, czy ma w to wierzyć.

Na pokrytych tapetą ścianach co parę metrów przymocowano piękne żarówki w kształcie róż. Dobry Boże, ależ one były jasne.

Paul spojrzął na swoje dłonie. Zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie oglądał własnych rąk w świetle elektrycznym. Teraz widział niebieskie żyły biegnące pod skórą. Piegi, blizny, zmarszczki, brud, brzydkie ślady, które zdążył zgromadzić przez dwadzieścia sześć lat życia. Zdradziecki środkowy palec, drgający zawsze, kiedy mężczyzna był zdenerwowany. Paul miał poczucie, że nowe jest nie tylko światło, ale i on sam. Wystarczyła elektryczna iskra i włókienko, by ujawnić w nim kogoś, kogo nigdy by się nie spodziewał.

Za wielkim mahoniowym biurkiem siedział Thomas Edison i palił cygaro.

Był przystojniejszy, niż Paul przypuszczał, szczuplejszy, niż wydawał się na zdjęciach, z mocną szczęką, typową dla ludzi ze Środkowego Zachodu. Mimo swoich czterdziestu kilku lat włosy miał wciąż rozczochrane jak u sztubaka. Człowieka mniejszego formatu pewnie by to postarzyło; w przypadku Edisona sprawiało wrażenie, jakby wynalazca miał po prostu ważniejsze sprawy na głowie. Światło było na tyle mocne, że Paul zauważył nawet, iż jego oczy są szare.

– Dobry wieczór.

– Po co mnie pan tu wezwał, panie Edison?

– Nie lubi pan tracić czasu. To duża zaleta u prawnika.

– Nie jestem pańskim prawnikiem.

Wynalazca uniósł brwi, po czym przesunął w jego stronę arkusz papieru. Paul po chwili wahania zbliżył się do biurka. Nie chciał poddawać się zbyt łatwo. Ale z drugiej strony ciekawiło go, co Edison mu pokazuje.

Była to pierwsza strona „New York Timesa”. ŚMIERĆ WŚRÓD KABLI, krzyczał nagłówek. PRZERAŻAJĄCE WIDOWISKO – MONTER USMAŻONY W PLAŃTANINIE DRUTÓW. Artykuł

pod spodem żarliwie przestrzegał przed elektrycznością. Redaktorzy kwestionowali bezpieczeństwo prowadzenia przez miasto kabli pełnych groźnej i niewystarczająco zbadanej energii.

– To jutrzejsza gazeta – odezwał się Paul. – Skąd pan ją ma?

Edison zignorował pytanie.

– Jak się nazywa ta pańska kancelaryjka? Chyba mieści się nie daleko stąd, mam rację?

– Widziałem ten wypadek.

– Doprawdy?

– Widziałem, jak ten człowiek stanął w płomieniach, i byłem na miejscu, kiedy strażacy odcinali jego zwłoki. Ale kable na dolnej części Broadwayu nie należą do pana. Ani do mojego klienta. Tylko do U.S. Illuminating Company. Skoro więc nie jestem, dzięki Bogu, prawnikiem pana Lyncha, ta sprawa nie ma nic wspólnego ze mną. Ani też ze sporem pomiędzy panem a George'em Westinghouse'em.

– Naprawdę pan tak sądzi?

– Co ja tutaj robię?

Edison milczał przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Panie Cravath, nie wiem, czy pan to zauważył, ale toczy się wojna. W ciągu najbliższych kilku lat ktoś zbuduje system elektryczny, który będzie dostarczać światło całemu krajowi. Możliwe, że będę to ja. Albo pan Westinghouse. Jednak po tym, co stało się dzisiaj, z pewnością nie będzie to pan Lynch. Do rana gazety nie zostawią na nim suchej nitki.

– Wygląda na to, że dla mojej strony był to dobry dzień.

Edison strząsnął popiół z cygara do złotej popielniczki.

– W zeszłym roku – zaczął – miałem wielu przeciwników, na których mogłem koncentrować swoją uwagę. Po dzisiejszym wypadku zostanie mi tylko jeden. Pański klient. Wygram albo ja,

albo pan Westinghouse. To bardzo proste. Moja firma jest dziesięciokrotnie większa od jego przedsiębiorstwa. Mam w tej technologii siedem lat doświadczenia więcej niż on. Sam J.P. Morgan obiecał nam niewyczerpane środki na rozwój firmy. A ja... Cóż. Sądzę, że wie pan, kim jestem.

Edison głęboko zaciągnął się dymem z cygara, po czym wydmuchał go w powietrze.

– Sprowadziłem tu pana, żeby zadać mu następujące pytanie: czy naprawdę myśli pan, że ma ze mną szanse?

Posłał Paulowi takie spojrzenie, jakim hycel mógłby obrzucić bezpańskiego psa, który wkrótce ma zostać uśpiony.

– Panie Cravath, ja wynalazłem żarówkę. George Westinghouse – nie. Toteż wytaczam mu proces o wszystko, co ma. To bogaty człowiek, a pan wkrótce roztrwoni jego majątek, usiłując pokonać mnie w grze, którą ja już wygrałem. Kiedy dobiegnie końca, firma Westinghouse'a będzie należeć do mnie. Podobnie jak pańska kancelaria. Proszę więc się zatrzymać. Postawiłem granicę. Każdemu, kto wejdzie mi w drogę, stanie się krzywda. Dla pańskiego własnego dobra proszę, by zastanowił się pan, czy chce być jednym z tych ludzi.

W kącikach szarych oczu Edisona zarysowała się dziwna zmarszczka. Zinterpretowanie jej zajęło Paulowi dłuższą chwilę. Thomas Edison spoglądał na niego z... troską.

I to wzbudziło w Paulu gniew.

– Cieszę się, że pan mnie tu dziś zaprosił – powiedział. – Oszczędził mi pan kłopotu umawiania się na spotkanie.

– Ach tak? A o czym to chciał pan ze mną porozmawiać?

– Chciałem przekazać panu złą wiadomość. Został pan pozwany.

– Czyżby? – spytał wynalazca z ledwo dostrzegalnym uśmiechem na ustach. – Przez kogo?

– Przez George’a Westinghouse’a.

– Mój chłopcze, zdaje mi się, że coś się panu pomyliło.

– Wystąpiliśmy z kontrproszwem.

Edison się roześmiał.

– Jaki jest zarzut?

– Naruszenie naszego patentu na żarówkę.

– To ja wynalazłem żarówkę.

– Tak orzekło biuro patentowe. Tylko... czy przed pańskim patentem na żarówkę nie istniały czasem inne? Czy nikt poza panem nie zgłaszał podobnych projektów?

Edison szybko odgadł, do czego zmierza Paul.

– Sawyer i Man? To chyba jakiś żart. Ich projekty od moich dzieliła przepaść. Jeśli chcą mnie pozwać, bardzo proszę.

– Obawiam się, że nie mogą. Ponieważ nie są już właścicielami swoich patentów – Paul wyciągnął z kieszeni teczkę, którą włożył tam przed wyjściem z kancelarii, i przesunął jej zawartość po biurku w stronę wynalazcy. – Obecnie należą one do nas.

Edison spojrział na leżące przed nim dokumenty. Jego palce bębniły cicho po solidnym blacie, gdy czytał, że Westinghouse Electric Company zawarła umowę licencyjną z Williamem Sawyerem i Albonem Manem. W tej chwili Westinghouse miał wyłączne prawo do wytwarzania, sprzedaży i dystrybucji lamp elektrycznych z wykorzystaniem opatentowanego przez nich projektu.

– To niezwykle sprytne, panie Cravath – powiedział wreszcie Edison. – Naprawdę. Teraz rozumiem, dlaczego spodobał się pan George’owi.

To poufale określenie było najwyraźniej wykalkulowanym ruchem. Wynalazca przesunął dokumenty po biurku z powrotem w stronę Paula. Odchylił się w swoim głębokim fotelu, po czym odezwał się znowu:

– Zebrałem trochę informacji na pana temat. Pomyślałem, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu.

– Wątpię, żeby udało się panu dowiedzieć czegoś ciekawego.

– Dwa lata temu skończył pan Szkołę Prawa Uniwersytetu Columbia z pierwszą lokatą. Następnie sam Walter Carter wziął pana pod swoje skrzydła. Nieźle. Półtora roku później Carter odchodzi, a pan razem z nim, do jego nowej kancelarii. Natychmiast otrzymuje pan stanowisko młodszego współpracownika. W wieku dwudziestu sześciu lat.

– Jestem nad wiek rozwinięty.

– Jest pan ambitny. Pół roku temu był pan młodszym współpracownikiem w nowej kancelarii. Nie miał pan na koncie żadnej sprawy. A potem jakimś sposobem udało się panu znaleźć pierwszego klienta: pana George'a Westinghouse'a, człowieka, któremu właśnie wytoczyłem proces o sumę większą, niż pan, pańskie dzieci i wnuki zobaczą w ciągu całego swojego nieciekawego życia.

– Pan Westinghouse ma nosa do talentów.

– Jest pan smarkaczem, zatrudnionym na stanowisku głównego reprezentanta strony skarżącej w największym procesie patentowym w historii tego kraju.

– Jestem dobry w tym, co robię.

Wynalazca wybuchnął gromkim śmiechem.

– Niech pan da spokój. Nikt nie jest aż tak dobry. Jak udało się panu przekonać George'a, żeby pana zatrudnił?

– Panie Edison – odparł Paul – dlaczego udaje pan, że moje osiągnięcia panu imponują?

– Skąd przypuszczenie, że mój podziw nie jest szczerzy?

– Ponieważ stoję na trzecim piętrze położonej przy Piątej Alei siedziby najstynniejszego wynalazcy w historii ludzkości. Wynalazcy, który zarejestrował swój pierwszy patent w wieku

dwudziestu jeden lat i zarobił pierwszy milion przed trzydziestką, którego każda wypowiedź jest drukowana trzydziestką ósemką na pierwszej stronie „New York Timesa”, jakby pochodziła prosto od wyroczni delfickiej, i którego prezydent Stanów Zjednoczonych – oraz większość ich obywateli – uważa dosłownie za czarownika, którego nazwisko budzi podziw w sercu każdego dziecka i trwogę w sercu każdego bankiera na Wall Street. I ten człowiek uważa, że to ja jestem ambitny.

Edison spokojnie skinął głową. Następnie po raz pierwszy zwrócił się do swojego współnika przy drzwiach.

– Panie Batchelor, czy byłby pan tak dobry i przyniósł mi te akta z biurka Maryanne?

Batchelor wrócił, dźwigając stertę dokumentów niemal metrowej wysokości.

– Gdyby zechciał pan położyć je na tamtym biurku. O tak, dziękuję – powiedział Edison. – Panie Cravath, nie muszę panu tłumaczyć, że to, co pan tutaj widzi, to pozwy.

– I to bardzo liczne, jak się wydaje – odrzekł Paul, obrzucając je przelotnym spojrzeniem.

– Trzysta dziesięć – sprecyzował wynalazca. – Ta sterta liczy, z tego co mi wiadomo, trzysta dziesięć pozwów. Wszystkie przeciwko filiom Westinghouse’a.

– Trzysta dwanaście – poprawił go Batchelor. – Pozwy w sprawie Rhode Island i Maine zostały ukończone dziś wieczorem.

– Otóż to. Trzysta dwanaście. Widzi pan, nie wytaczam procesu tylko wam. Pozywam wszystkich, z którymi współpracujecie. Każdego, z kim kiedykolwiek współpracowaliście. Każdą filię Westinghouse’a, każdego producenta na skalę lokalną i krajową, każdą fabrykę, każde przedstawicielstwo handlowe. A najpiękniejsze jest to, że nie muszę wygrać wszystkich tych procesów.

Ani nawet większości. Muszę wygrać tylko jeden. Wy też mnie pozywacie? Powodzenia. Bo nie wystarczy, że pokonacie mnie raz. Będziecie musieli pokonać mnie trzysta dziesięć – przepraszam, trzysta dwanaście – razy. Trzysta dwanaście razy z rzędu.

Edison przesunął palcami po mahoniowym biurku, obok tajemniczych pudełek, zapieczętowanych szklanych rurek i cienkich paseczków z miedzi, aż do czarnego przycisku na drugim końcu blatu.

– Jak się panu podoba nasza panorama? – wynalazca zwrócił się w stronę okien. Za szybami, ponad oceanem wznosił się dolny Manhattan. Miasto migotało gazowymi i naftowymi płomykami, wśród których gdzieniegdzie mocniejszym blaskiem świeciła elektryczna żarówka. – Widać stąd posąg.

I rzeczywiście: Paul zobaczył przed sobą sylwetkę Statui Wolności, rysującą się w oddali na Bedloe’s Island. Przypomniały mu się jego pierwsze wizyty w Nowym Jorku, kiedy ramię posągu można było oglądać w parku przy Madison Square, zanim miastu udało się zebrać fundusze na zbudowanie reszty. Urządzali sobie ze znajomymi pikniki w cieniu jej łokcia.

Z takiej odległości światło bijące od posągu nie wydawało się zbyt jasne. Nie było jednak wątpliwości, co jest jego źródłem: elektryczność. Pochodnię zasilala prądnica z Pearl Street na południowym krańcu wyspy. To był generator Edisona. Jego światło.

– Ostatnio mamy kłopoty ze stacją przy Pearl Street – odezwał się wynalazca. – Jakieś zakłócenia – wcisnął czarny guzik na biurku.

I nagle światło zgasło. Jeden ruch palca Thomasa Edisona i pochodnia oddalonej o osiem kilometrów Statui Wolności przestała świecić.

– Energia potrafi być kapryśna. Gaz był całkowicie przewidywalny. Bierze się stertę węgla. Podgrzewa się go, filtruje, spręża, zapala zapałkę i *voilà* – mamy płomień, który oświetla pokój. Elektryczność to coś bardziej skomplikowanego. Jest tyle rodzajów żarówek – różne żarniki, obudowy, prądnice, próżnie. Jedna usterka i wszyscy lądujemy z powrotem w ciemności. A jednak dawny system jest coraz bardziej przestarzały. Jego miejsce musi zająć nowy. Kiedy już się ustabilizuje – kiedy udoskonalimy go tak, że stanie się wszechobecny – nie będzie powrotu. Wie pan, że policja donosi, iż w miejscach publicznych przemoc pod wszelkimi postaciami zmniejsza się tam, gdzie pojawiają się moje latarnie? Dzięki błogosławieństwu mojego światła długości dnia pracy nie ogranicza już zachód słońca. Fabryki podwajają produkcję. Zacieśnia się różnica między północą a południem. Kończy się noc poprzednich pokoleń. Światło elektryczne to nasza przyszłość. Człowiek, który nad nim zapanuje, posiada nie tylko niewyobrażalną fortunę. Nie będzie miał jedynie decydującego głosu w polityce. Nie ograniczy się do kontrolowania Wall Street, Waszyngtonu, gazet, przedsiębiorstw telegraficznych czy milionów elektrycznych artykułów gospodarstwa domowego, o których na razie nawet nam się nie śni. Nie, nie, nie. Człowiek panujący nad elektrycznością będzie miał władzę ni mniej, ni więcej, tylko nad słońcem na niebie – z tymi słowami Thomas Edison jeszcze raz wcisnął czarny guzik, a pochodnia posągu znów rozbłysła.

– Pytanie, które powinien pan sobie zadać – dodał, odchylając się na krześle – nie dotyczy tego, jak daleko jestem gotów się posunąć, by wygrać. Pytanie brzmi, do czego pan się posunie, zanim pan przegra.

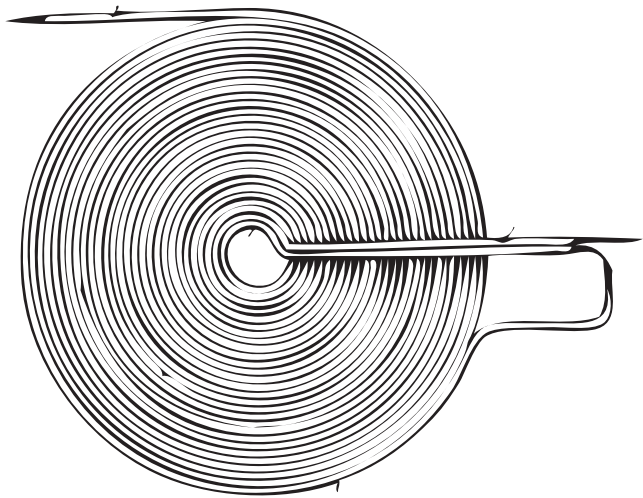
Dobry prawnik nie może łatwo dać się nastraszyć. Świetny prawnik powinien być na to całkowicie odporny. Jednak patrząc

na blask odległej Statui Wolności, na ciemne urządzenia na biurku Edisona, na trzysta dwanaście procesów, które musiał wygrać i na bladą twarz człowieka, który jednym palcem potrafił zrobić to, co nawet nie powstało w głowach pokoleń Newtonów, Hooke'ów i Franklinów, Paul czuł strach. Bo w tym momencie zrozumiał, na czym polega prawdziwa potęga.

Na pragnieniu. Potęga to pragnienie tak przemożne, że nic nie jest w stanie go powstrzymać. Przy takim pragnieniu wygrana to nie kwestia silnej woli. Tylko kwestia czasu. A Thomas Edison pragnął zwycięstwa bardziej niż ktokolwiek, kogo Paul w życiu spotkał.

Każda opowieść jest historią miłosną. Paul pamiętał, że powiedział tak ktoś sławny. Thomas Edison nie był pod tym względem wyjątkiem. Wszyscy ludzie dostają to, co kochają. Tragedia niektórych polega nie na tym, że im się tego odmawia, lecz na tym, że woleliby kochać co innego.

– Jeśli sądzi pan, że może mnie powstrzymać – rzekł cicho Edison – to proszę, niech pan próbuje. Ale będzie pan musiał zrobić to po omacku.



Nikola Tesla

*Jeśli człowiek ma zrobić coś istotnego,
musi być zatrudniony nieco poniżej swoich kwalifikacji.*

JAMES WATSON,
współodkrywca DNA

Rozdział 3

Młode talenty

Rok wcześniej Paul był pełnym zapału młodym zdolnym prawnikiem, zajmującym jedno z najbardziej pożądaných stanowisk w Nowym Jorku oraz niemającym choćby jednego klienta.

Wiosną 1886 roku, na kilka tygodni przed ukończeniem Szkoły Prawa Uniwersytetu Columbia, został osobiście zrekrutowany przez szacownego Waltera Cartera. Paul przyjął posadę w firmie Carter, Hornblower & Byrne, gdzie miał robić aplikację pod kierunkiem samego pana Cartera. Jeżeli w mieście był student, który nie marzył o tej posadzie, to Paulowi nie udało się go spotkać.

I właśnie dlatego poczuł się tak, jakby niebo zważyło mu się na głowę, gdy zaledwie kilka miesięcy później kancelaria zaczęła się rozpadać. Nagle Carter i Byrne przestali ze sobą rozmawiać. Paul nigdy się nie dowiedział, co właściwie ich poróżniło; w tamtym momencie było to już bez znaczenia. Firma rozdzieliła się na dwie kancelarie, a on musiał zdecydować, po czyjej stronie się opowie.

Byrne zabrał ze sobą Hornblowera, jak również większość klientów i właściwie cały prestiż. Gdyby Paul poszedł za nim, byłby aplikantem w prawdopodobnie najbardziej znanej firmie w Nowym Jorku.

Nowa kancelaria Cartera natomiast miała być przedsięwzięciem złożonym z dwóch osób. Trzech, gdyby Paul zdecydował się dołączyć. Wspólnikiem Cartera został mało doświadczony

prawnik nazwiskiem Charles Hughes, człowiek jeszcze młodszy od Paula, za to zaręczony z córką Cartera. W ich rodzinnej firmie nie było aplikantów. Ani żadnych ważnych klientów. Jej jedyny atut stanowiła reputacja Cartera, ostatnio nadszarpięta przez spór z Byrne'em.

Niemniej jednak, ponieważ nowa kancelaria Cartera była tak mała, mógł on zaoferować Paulowi coś, co Byrne'owi nawet przez myśl nie przeszło: mianowicie żeby został współnikiem. Naturalnie podział proponowany przez Cartera nie był szczególnie hojny: 60/24/16, przy czym młody Cravath byłby udziałowcem mniejszościowym. Z drugiej strony... żadna inna firma na świecie nie zechciałaby umieścić na drzwiach jego nazwiska.

Czy Paul chce być aplikantem u Byrne'a? Czy współnikiem Cartera?

Kancelaria Carter, Hughes & Cravath otworzyła podwoje 1 stycznia 1888 roku.

Na początkowym etapie sprawą najwyższej wagi było przyciągnięcie klientów. Carter odwoływał się do gromadzonych przez dziesięciolecia kontaktów biznesowych. Hughes był szczęśliwie zaangażowany w jakiś niewielki, ale długotrwały proces po stronie spółki kolejowej Rome, Watertown and Ogdensburg Railroad. Paul natomiast mógł opierać się jedynie na znajomości z kilkoma kumplami z uczelni oraz wrodzonym darze przekonywania. Pod koniec szóstego tygodnia, gdy wciąż nie udało mu się przysporzyć firmie choćby dolara zysku, pewność siebie młodego prawnika zaczęła ustępować miejsca rozczarowaniu. Każda godzina, którą spędzał samotnie przy biurku, w ciszy i poczuciu własnej bezużyteczności, w oczach Paula obnażała fakt, że jest zwykłym oszustem.

Jego dawni koledzy ze studiów okazali się nieskorzy zarówno do pomocy, jak i współczucia.

– No tak, to zupełnie w stylu Paula – mówili, kiedy spotykał się z nimi w ich klubach nad szklaneczką szkockiej. – Na pewno okropnie ciężko jest dostać wszystko, czego się zapragnie.

Tak istotnie było. Ale jak mógł wytłumaczyć im, ile stresu i niepewności wiąże się z pozycją, za którą oni wszyscy byliby gotowi wbić jeden drugiemu nóż w plecy? Pragnęli tego, co on miał. Powiedzieć komuś, kto zazdrości mu sukcesu, że ten sukces nie wygląda tak, jak Paul się spodziewał, a w gruncie rzeczy stanowi ciąg napięć i zmartwień, byłoby równoznaczne ze zdradzeniem własnych marzeń. Podeptaniem ambicji, gestem, który w dodatku tamci odczytaliby jako wyraz fałszywej skromności.

Paul zawsze marzył o byciu młodocianym geniuszem. Tylko nikt mu nie powiedział, że taka osoba wcale nie czuje się jak młodociany geniusz, ale czuje się staro. Czuje się jak ktoś, kto najlepsze lata ma za sobą, podczas gdy inni są przekonani, że właśnie rozwija skrzydła. Kiedy chwala go za to, że jest nad wiek dojrzały czy nadzwyczaj pomysłowy jak na kogoś tak młodego, on tylko wzrusza ramionami, bo w głębi serca czuje, że jest sędziwy i dotknięty rozkładem. Dopiero później, po tym jak lata dokonań zdołają uwolnić taką osobę od niepewności, usłyszy, że nie jest już młodocianym geniuszem, a po prostu człowiekiem sukcesu. I wtedy się wzdrygnie. Bo właśnie w chwili gdy jego młodociany geniusz stanie się przeszłością, zrozumie, że naprawdę nim był.

W skrytości ducha Paul żałował niekiedy, że nie może znów być aplikantem.

I wówczas, zupełnie zniemacka, zaproszono go na kolację w rezydencji George'a Westinghouse'a.

Okazało się, że kilka lat wcześniej daleki kuzyn Paula, wuj Caleb, zatrudnił się w filii Westinghouse'a w Ohio. Kiedy usłyszał przypadkiem, jak jeden z przełożonych załamuje ręce nad brakiem kreatywności u firmowych prawników, wysunął pewną sugestię. Otóż Caleb ma w Nowym Jorku bratanka. Niezwykle zdolnego młodego człowieka, dodał. Istne cudowne dziecko; młodzieńca, który właśnie został współnikiem samego Waltera Cartera, i to w zdumiewającym wieku dwudziestu sześciu lat. Pan Westinghouse powinien się z nim spotkać. Niewykluczone, że chłopakowi przyjdzie do głowy jakiś niegłupi pomysł.

Kiedy ojciec Paula przekazał mu wiadomość, że Caleb zarekomendował bratanka właścicielowi Westinghouse Electric Company, młody prawnik poczuł się zakłopotany. Fakt, że brakuje mu kwalifikacji, by myśleć o takim stanowisku, był boleśnie oczywisty. Paul mógł sobie wyobrazić uprzejme lekceważenie, z jakim Westinghouse przyjął wzmiankę o jego osobie.

Paul napisał nawet ojcu, że choć wuj niewątpliwie miał dobre intencje, to wykazał się pewną naiwnością. To jest Nowy Jork, nie Tennessee. Erastus Cravath odpowiedział krótkim listem, zawierającym dwa cytaty z Księgi Przysłów oraz przypomnienie, że Jezus go kocha. Nie była to pierwsza wymiana korespondencji, podczas której młody Cravath czuł, że ojciec nie do końca rozumie, na jak głębokiej wodzie usiłuje się utrzymać jego syn.

Niemniej ku swojemu zaskoczeniu Paul dwa tygodnie później otrzymał wiadomość następującej treści: „Pan George Westinghouse z Pittsburgha w stanie Pensylwania ma nadzieję, że wyświadczy mu Pan ten zaszczyt i zechce spożyć z nim kolację jutro wieczorem”.

Drogę do Pittsburgha młody prawnik odbył pierwszą klasą, co było w jego życiu wydarzeniem bezprecedensowym. Przez

trwającą cały dzień podróż trzymał na kolanach swoją jedyną wieczorową marynarkę. Największą obawą Paula było, że ręcznie wyprasowane poprzedniej nocy ubranie się wygniecie. Nie miał nic na zmianę. Na uczelni dowiedział się, że jeśli zadba o to, by czarny smoking był zawsze odpowiednio gładki i świeży, to będzie mógł go zakładać na każdą uroczystą kolację, a nikt nie zauważy, że to jego jedyne eleganckie okrycie.

Na stacji Pittsburgh Union przesiadł się do „Glen Eyre” – prywatnego pociągu Westinghouse’a. Zawiózł on Paula – i nikogo poza nim – dziesięć kilometrów dalej, do Homewood, na lesiste przedmieścia, gdzie stała rodzinna willa, zbudowana z białej cegły. Jeśli człowiek zaprojektuje wystarczająco dużo pociągów, pomyślał prawnik, dadzą mu własną lokomotywę. Westinghouse miał własną linię kolejową.

Do stołu zasiadło szesnaście osób. Kilku inżynierów z laboratorium Westinghouse’a, wykładowca z Yale, jakieś grube ryby związane z przemysłem kolejowym, niemiecki finansista, którego nazwiska nie udało się Paulowi dosłyszeć. Marguerite Westinghouse posadziła ich wszystkich przy stole nakrytym porcelaną z Sèvres i sztuccami z litego złota, podczas gdy jej mąż przygotowywał dressing do sałaty. Marguerite wyjaśniła, że taki jest George – żadna armia wynajętych kucharzy nie byłaby w stanie odwieść go od pochwalenia się przepisem matki. W ciągu dwudziestu lat małżeństwa gospodyni ani razu nie przyrządziła dla męża sałaty. Uśmiech Marguerite wskazywał na to, że zwyczaj ten towarzyszy im stale, lecz wciąż sprawia radość.

George Westinghouse powitał Paula silnym uściskiem dłoni i długim spojrzeniem prosto w oczy. I przez resztę wieczoru zupełnie nie zwracał na niego uwagi. Gospodarz sprawiał imponujące wrażenie. Postura niedźwiedzia, bujne bokobrody i siwe wąsy

tak sumiaste, że całkowicie zakrywały nie tylko górną wargę, ale i większość dolnej. Był kilka centymetrów niższy od Paula, kiedy jednak stali obok siebie, prawnik czuł się jak mały chłopiec.

Rozmowa przy kolacji dotyczyła kwestii technicznych. Paul szybko zrezygnował z prób nadążenia za jej przebiegiem. Przemysłowcy od kolei byli starymi znajomymi Westinghouse'a z lat siedemdziesiątych, kiedy to wszyscy jednocześnie zostali milionerami. Zadawali niezliczone pytania na temat hamulców pneumatycznych. Jeden z nich próbował nawet wciągnąć prawnika do rozmowy.

– Panie Cravath, zgodzi się pan ze spostrzeżeniem pana Jensa?

– Na pewno bym się zgodził, gdybym miał choćby najbledsze pojęcie, co to wszystko oznacza – odparł Paul z nadzieją, że zabrzmiało to zarazem nonszalancko i dowcipnie. – Obawiam się, że w szkole przegapiłem wszystkie zajęcia z nauk przyrodniczych. I na dobitkę matematycznych.

Wyraz twarzy siedzącego na drugim końcu stołu Westinghouse'a nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że żartobliwa uwaga Paula nie była strzałem w dziesiątkę.

– Śmierć edukacji matematycznej będzie gwoździem do trumny tego kraju – oznajmił wynalazca. – Pokolenie młodych ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o analizie, nie wspominając już o opanowaniu rachunku różniczkowego. Co wy będziecie potrafili wynaleźć?

– Cóż, chyba nic – odrzekł Paul. – Jeśli pańskie pokolenie zechce wziąć na siebie wynalazki, moje zajmie się broniem waszych praw w sądzie.

Westinghouse wzruszył ramionami. Skoncentrował się z powrotem na śmietanie, zdobiącej jego zupę z pieczonej dyni.

Tak przedstawiał się wkład prawnika w konwersację. Paul zmarnował jedyną szansę zrobienia wrażenia na Westinghousie. Postanowił utopić swoje zażenowanie w bordeaux. Kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał okazję pić takie kosztowne wino?

Jego smętne skupienie na własnym kieliszku przerwał komentarz rzucony od niechcienia przez wykładowcę. Kilka słów, które doleciały do Paula z drugiego końca stołu. Coś o wydziale fizyki w Yale. Narzekanie na nowego doktoranta. Zwykle akademickie plotki, poza jednym słowem, które zwróciło uwagę prawnika.

– Murzyn na wydziale fizyki? – mówił profesor, ze znużeniem kręcąc głową. – Mieć u siebie kilku takich studentów to jedno. Ale żeby taki prowadził zajęcia? I to z nauk ścisłych?

– Wolałby pan, żeby wyładał gdzie indziej? – dopiero wypowiedziawszy te słowa, Paul zdał sobie sprawę, że zrobił to dość głośno.

– Słucham? – profesor był wyraźnie zaskoczony.

– Ja... cóż... – zająknął się młody prawnik. Ciągnięcie tematu byłoby zachowaniem idiotycznym, a przy tym po prostu niegrzecznym. Ale wypite wino zagłuszało głos rozsądku. – Przypuszczam, że wolałby pan, żeby ten człowiek uczył fizyki gdzie indziej? Żeby lepiej zaniżał poziom tych zarozumiałych baranów na MIT?

– Jeśli chodzi o zarozumiałych baranów z MIT, to sam poznałem kilku takich gagatków – wtrącił Westinghouse. Usiłował pospiesznie rozładować sytuację.

– Mógłby uczyć na którejś z tych swoich cholernych uczelni – stwierdził profesor.

– Niestety na żadnej murzyńskiej uczelni nie są prowadzone zajęcia z fizyki. Choć podobno wkrótce rozpoczną się na

Uniwersytecie Fisk. Pokolenie, które mogło całe życie przepracować w polu, będzie wiedzieć więcej o pańskich hamulcach pneumatycznych i kablach elektrycznych, niż ja kiedykolwiek byłbym w stanie zrozumieć.

– Ciekaw jestem, skąd pan o tym wie – rzucił profesor.

– Ponieważ Fisk został założony przez mojego ojca.

Wokół stołu zaległa cisza. Paul wywołał niezręczną sytuację i spotęgował ją z mocą jednego z silników parowych pana Westinghouse’a.

– Pański ojciec założył murzyński uniwersytet? – odezwał się zaciekawiony głos gospodarza.

– To nasza rodzinna tradycja, proszę pana – odrzekł Paul.

Zazwyczaj opowiadanie tej historii nie napawało go szczególną dumą. Podzielał zapatrywania polityczne swoich rodziców, ale się z nimi nie obnosił. Może teraz poskutkowało wypite wino. Może zawstydzenie, że na tej eleganckiej kolacji czuje się tak nie na miejscu. A może po prostu nagłe wzruszenie na myśl o rodzinie, która chętnie przyjmie go z powrotem do domu w Tennessee, kiedy się okaże, że w Nowym Jorku Paul nie ma na co liczyć.

– Mój dziadek wspierał nieduży college w Ohio, o nazwie Oberlin. Był wielkim rzecznikiem edukacji kobiet, a ta uczelnia stała się jego poletkiem doświadczalnym. W salach wykładowych siedzieli obok siebie mężczyźni i kobiety. Sam tam uczęszczałem. Moi rodzice poznali się w Seminarium Oberlin, wzięli ślub, a ojciec został diakonem. Podczas wojny służył jako kapelan, i w ten sposób zetknął się z kwestią, która z czasem stała się dla niego równie ważna, jak wykształcenie kobiet dla mojego dziadka: trudności edukacyjne piętzące się przed Murzynami na Południu. Ojciec jest człowiekiem głęboko wierzącym, był więc przekonany – nadal jest – że Bóg nie bez powodu powołał go na ten świat. I tak

oto odkrył dla siebie cel życia. College, który uczyni dla Murzyna z Południa to samo, co Yale dla bogatego nowojorczyka.

Na zakończenie przemowy nie rozległy się oklaski. Jedyne niezręczne dzwonienie łyżek o porcelanę z Sèvres. Paul nie przedstawił żadnego błyskotliwego argumentu. Po prostu zrobił z siebie osła.

Posiłek dłużył mu się w nieskończoność. Rumieniec wstydu nie opuszczał policzków młodego prawnika aż do chwili, kiedy podano sery. Bo wtedy Westinghouse powiedział coś, co zaskoczyło nie tylko Paula, ale i wszystkich pozostałych gości przy stole.

– Panie Cravath, zechce pan potowarzyszyć mi do gabinetu?

Wciąż niepewny, czy wynalazca czasem się nie przejęczył, Paul ruszył za nim. Samo biurko sprawiało wrażenie większego niż całe nowojorskie mieszkanie prawnika. Podłogę zaścieniały puszyste perskie dywany, a pod ścianą wznosiła się aż do sufitu biblioteczka wypełniona pismami o tematyce inżynierskiej. Westinghouse zamknął drzwi.

– Cygaro? – zaproponował.

– Nie, dziękuję – odrzekł Paul. – Obawiam się, że nie palę.

– Ja także. Nie znoszę tego zapachu. Ale Marguerite mówi, że to niegrzecznie nie mieć w zapasie cygar dla gości – nalał starej whisky do dwóch szklanek z zaokrąglonym dnem. – Synu, odnoś wrazenie, że jesteś uczciwym człowiekiem.

– Dziękuję panu. Choć nie jestem pewien, czy akurat w moim zawodzie to pożądana cecha.

– Niedawno znalazłem się w sytuacji, w której potrzeba mi kogoś nieustraszonego – gospodarz umilkł, jakby się zastanawiał, jak najręczniejszy poruszyć zasadniczy temat. – Wytoczono mi proces.

Paul miał tego świadomość. Od kiedy otrzymał zaproszenie na kolację do Westinghouse'a, zdążył przeczytać wszystko, co gazety

piślały na temat jego kłopotów w sądzie. Sprawa była szeroko omawiana.

– Thomas Edison pozwał pana o naruszenie patentu na żarówkę.

– Jego żarówki są fatalne – to kiepskiej jakości projekty, dwie generacje za moimi. W całym kraju jest z tuzin firm, które robią żarówki według projektu bardziej zaawansowanego niż ten Edisona. Tak się po prostu składa, że moje są zdecydowanie najlepsze.

– Pańskie żarówki są lepsze. Jednak te Edisona były pierwsze. Prawo interesuje się tą drugą kwestią. Pański problem polega na tym, że to on ma patent.

– Nie skopiowałem projektu Edisona. Poprawiłem go. Ogromnie. Moja i jego żarówka to jak automobil i furmanka. Czy sprawiedliwie byłoby zabronić panu Benzowi sprzedaży tego pierwszego, bo istnieje drugie? Naturalnie, że nie. Edison nie procesuje się ze mną – wytacza proces samemu postępowi, ponieważ brakuje mu zdolności, by go wynaleźć.

– Brzmi to tak – zauważył Paul – jakby potrzebował pan bardzo dobrego prawnika.

– Potrzebuję bardzo dobrego prawnika, który nie boi się Thomasa Edisona.

Westinghouse opuścił swoje potężne ciało na skórzany fotel. Pociągnął łyk szkockiej.

– Jeżeli sprawiedliwość leży panu na sercu, to przyrzekam, że nie znajdzie pan sprawy słuszniejszej niż nasza obrona przeciw Edisonowi. Wasza firma jest mała, a to dla mnie zaleta. Kiedy kogoś zatrudniam, oczekuję jego niepodzielnej uwagi. Ja także pana sprawdziłem. Zaskoczony? Panie Cravath, zatrudnić prawnika potrafi każdy. Ja potrzebuję partnera. Człowieka honoru, który nie będzie się bał powiedzieć mi trudnej prawdy. Jestem

najbiegłym technicznie wynalazcą naszych czasów. Niektórych to onieśmiela. A pana?

– Imponuje mi pan – odrzekł Paul. – Ale mnie nie onieśmiela. Podobnie jak, skoro już o tym mowa, Thomas Edison.

Westinghouse zaśmiał się krótko.

– Na początku wszyscy tak myślą. A potem się orientują, w co się wpakowali.

– A w co miałbym się wpakować?

– Ten pozew... To zasadnicza kwestia.

– Naturalnie.

– Moi księgowi są ciągle jeszcze zajęci wyliczeniami, usiłują określić w przybliżeniu kaliber całej sprawy. Wie pan, precyzyjne oszacowanie wartości światła elektrycznego jest praktycznie niemożliwe.

– W poprzedniej kancelarii u pana Cartera pracowałem przy jednym z procesów banku inwestycyjnego Kuhna i Loeba. – Paul przesadzał. Ledwie otarł się o tę sprawę. Ale Westinghouse nie miał jak się tego dowiedzieć. – W grę wchodziło dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów odszkodowania. Bezprecedensowa kwota. Wygraliśmy.

Westinghouse uniósł brew.

– To dużo pieniędzy.

– Owszem.

– Thomas Edison domaga się odszkodowania w wysokości miliarda dolarów.

Westinghouse przyjrzał się minie Paula, po czym na twarzy starszego mężczyzny po raz pierwszy tego wieczoru pojawił się szeroki uśmiech.

– Więc jak – odezwał się – nadal chce pan tę pracę?

*Nie da się skutecznie uprawiać nauki, nie mając świadomości,
że wbrew popularnemu przekonaniu,
rozpowszechnianemu przez gazety oraz matki naukowców,
wielu spośród nich to ludzie nie tylko nieciekawi i o ciasnych horyzontach,
ale przy tym zwyczajnie głupi.*

JAMES WATSON,
współodkrywca DNA

Rozdział 4

Propozycja kompromisu

Wymagane dokumenty przesłano do Nowego Jorku, umowy podpisano. Kasa wypełniła się pieniędzmi. Westinghouse nie tylko płacił w terminie – płacił z góry. Carter, starszy wspólnik, był uszczęśliwiony, podczas gdy młodszy, Hughes, nie potrafił ukryć zazdrości. Ich mniejszościowy udziałowiec właśnie zdobył klienta, który stanowił jeden z najbardziej łakomych kąsków w całym kraju. Ale umowa między partnerami była jasna: ponieważ to Paul przyciągnął Westinghouse’a, sprawa należała do Paula. Starsi wspólnicy mieli prawo zabrać osiemdziesiąt cztery procent honorarium, lecz nie mogli przypisać sobie zasług.

Przez kolejne trzy miesiące jedyny klient Cravatha rzadko się z nim kontaktował. Paul nie dostawał od niego żadnych dodatkowych wskazówek. Westinghouse zdawał się niezainteresowany prawniczymi detalami. Kiedy adwokat prosił o plany techniczne poszczególnych urządzeń związanych ze sprawą, te zjawiały się niezwłocznie i bez komentarza. Gdy wysyłał do klienta kopie swoich akt, nie otrzymywał odpowiedzi. Podczas nieczęstych spotkań w Pittsburghu Westinghouse przeważnie milczał. Jakby oczekiwał od Paula czegoś, co jeszcze nie padło z jego ust. W odpowiedzi na tę ciszę prawnik mówił dalej. Wielomówność była najlepszą namiastką serdeczności, na jaką było go stać.

Jedynie w chwilach, gdy wynikała jakaś kwestia naukowa, Westinghouse ożywiał się i zaczynał przemawiać – długo i tubalnym głosem. Sprawiał wrażenie, jakby znał tylko dwa tryby interakcji: milczenie albo wykład. Prawnik często miał poczucie, że wynalazca w ogóle go nie słucha. Zadawał mu pytanie, a Westinghouse bez słowa wpatrywał się w jakiś dokument na swoim biurku, po czym odpowiadał, poruszając zupełnie inny temat.

Niekiedy Paul myślał, że równie dobrze mógłby czyścić srebra swojego klienta, a nie usiłować ocalić jego firmę.

Jedynym niezwiązanym z nauką tematem będącym w stanie go poruszyć był Edison. Westinghouse uśmiechał się drwiąco, gdy tylko padało jego nazwisko. Na sugestie – regularnie wysuwane i omawiane szczegółowo przez prawników jego przeciwnika – że to Edison wynalazł żarówkę, a Westinghouse bezprawnie wykorzystał jego dokonania, starszy mężczyzna prychał z oburzeniem.

Po czyjej stronie jest słuszność? Paul nie był ani naukowcem, ani inżynierem. Nie miał pojęcia. Jego zadanie polegało na żarliwym bronieniu klienta, i tak też zamierzał zrobić. Od powodzenia tej sprawy zależała jego własna przyszłość. Gdyby tylko Westinghouse zechciał pomóc mu choć odrobinę.

Nazajutrz po śmierci robotnika w płomieniach nad Broadwayem i po nocnym spotkaniu z Edisonem Paul w pośpiechu wyruszył do Pittsburgha. Nie fatygował się ze zwracaniem się do klienta z prośbą o udzielenie audiencji; po prostu zatelegrafował, że przyjeżdża wieczorem.

Dotarłszy na miejsce, zastał Westinghouse'a w laboratorium. Mężczyzna był bez marynarki i miał zakasane rękawy. Wpatrywał się w stalowy krążek, który leżał przed nim na stole roboczym.

Podczas gdy Paul opowiadał o tym, co się wydarzyło w gabinecie Edisona, Westinghouse gładził krążek, przesuwając palcami po jego szorstkich krawędziach. Wyglądało to tak, jakby sam dotyk wynalazcy mógł ożywić niedokończony mechanizm.

– Edison usiłował mnie nastraszyć – tłumaczył Paul. – A to niekoniecznie zła wiadomość. To znaczy, że sam się czegoś boi.

Westinghouse machnął ręką.

– Mówi pan, że miał na biurku włącznik, który kontrolował pochodnię w ręku posągu? To niemożliwe.

Paul nie był pewny, co ma na to odpowiedzieć.

– Jaka jest odległość od Piątej Alei do Statui Wolności? – zamyślił się starszy mężczyzna. – Pewnie ze sześć kilometrów. Siedem? Niemożliwe, żeby elektryczność Edisona obejmowała taki szmat ziemi. Jego prąd nie sięga dalej niż kilkaset metrów od generatora. Jak to wyglądało?

– Taki ogromny posąg kobiety, trzymającej pochodnię...

– Nie, nie, ten włącznik. Jak wyglądał włącznik?

Paul wlepił wzrok w klienta. Poprawił windsorski węzeł swojego długiego czarnego krawata, usiłując się opanować.

– Obawiam się, proszę pana, że nie pamiętam.

– Chodzi o problem z odległością – oznajmił Westinghouse. – Moi ludzie nie śpiąją po nocach, bo łamią sobie głowy nad tym, jak go rozwiązać. Prąd elektryczny o takim napięciu, jakie jest konieczne do zasilenia żarówki, jest w stanie pokonać odległość kilkuset metrów, po czym zanika. Edison musiał wysłać sygnał telegraficzny – tak, to na pewno to. Coś w alfabecie Morse'a do człowieka na Pearl Street, który na jego żądanie włącza i wyłącza pochodnię. To jedyne sensowne wyjaśnienie. Nie wierzę, żeby zespół Edisona rozwiązał problem odległości. Mowy nie ma.

Prawnik powstrzymał się od okazania emocji. Westinghouse, jak przystało na prawdziwego inżyniera, miał skłonność do obsesyjnego skupiania się na szczegółach technicznych, ignorując jednocześnie większe i pilniejsze zagadnienia. W grę wchodził miliard dolarów, a jego interesował tylko kształt włączników Edisona. Paul musiał wytłumaczyć swojemu klientowi, że nie ma znaczenia, czyje włączniki są zgrabniej skonstruowane; jeśli przegrają z Edisonem w sądzie, Westinghouse skończy jako konstruktor dynam z pracownią w suterenie gdzieś na Bowery, najpodlejszej ulicy w całym Nowym Jorku.

– Chyba że – ciągnął dalej wynalazca – adresatem tego popisu byłem tak naprawdę ja, a nie pan. On wiedział, że pan mi wszystko przekaże, i chciał, żebym pomyślał, iż rozwiązał problem odległości. Mnie chciał przestraszyć. Ha. To chyba mu się nie udało, co?

– Nie przepada pan za prawnikami, prawda? – zagadnął Cravath.

Na twarzy Westinghouse'a pojawiło się zaniepokojenie. Paul skutecznie przyciągnął jego uwagę.

– Nie dziwię się panu. Niemniej w tej chwili prawnik jest panu bardzo potrzebny. A ja potrzebuję pana pomocy, żeby być w stanie wykonywać swoje zadania.

– Zapewne.

– Do tych zadań należy określenie sposobu postępowania, który może posłużyć pańskim interesom. Zwłaszcza, jeśli dotychczas nie przyszedł on panu na myśl.

Westinghouse rozsiadł się w fotelu. Prawnik nie był pewien, czy zrobił na kliencie wrażenie swoją przemową, czy raczej tupetem.

– Chciałbym, żebyśmy zaczęli rozważać kompromis – zaproponował Paul.

– Kompromis?

– Przyniesie to korzyść panu i z pewnością pańskim produktom. Może to niesprawiedliwe, ale w takim świecie żyjemy.

– Co konkretnie ma pan na myśli, mówiąc „kompromis”?

– Nie ja o tym decyduję – odparł Paul dyplomatycznie. – Jest szereg sposobów, na które można zawrzeć kompromis. Możemy zastanowić się spokojnie, który z nich byłby dla pana najbardziej korzystny.

– Na przykład?

– Na przykład fuzja. The Westinghouse and Edison Electrical Company. Albo może American Electrical Company; dla uproszczenia usunęłoby się z nazwy oba nazwiska. Albo jeszcze inaczej. Umowa licencyjna, taka, jaką zawarliśmy z Sawyerem i Manem. Pan sprzedaje prądnice Edisona i płaci mu tantiemy, on sprzedaje pańskie żarówki – znacznie wyższej jakości – i płaci tantiemy panu. Albo obaj sprzedajecie jeden i drugi typ żarówek i prądnic, przy podobnym systemie tantiemowym, a klienci decydują, który model wolą.

– Moje są lepsze – proste, poważne stwierdzenie Westinghouse’a stanowiło wyrwę w ich konwersacji.

– Rozumiem. – Co innego Paul mógł na to odpowiedzieć?

– Żarówki Edisona ciągle się psują. Jego prądnice trzeba naprawiać jeszcze częściej niż jego tandetne telegrafy. Wie pan, że żarówki, które sprzedaje, działają dwa razy krócej od moich? A w dodatku moje są o jedną czwartą jaśniejsze? Jego produkty są pod każdym względem gorsze. A jednak ludzie kupują je na kopy. Jego rzeczy sprzedają się cztery razy lepiej niż moje, mimo wszystkich swoich wad. Nie wiedzieć czemu. Czy ludzie nie widzą, że Edisonowi brakuje cierpliwości, nie wspominając o talencie, o umiejętnościach, żeby tworzyć dobre produkty? EGE wytwarza tyle rzeczy, nieprawdopodobnie szeroką gamę, tylko

każda z nich to, proszę mi wybaczyć, szajs. Po prostu szajs. Edison produkuje i sprzedaje taką ilość szajsu, że nikt nie zauważa, co to tak naprawdę jest. Thomas Edison wynalazł szajs. Ja wynalazłem żarówkę. Udoskonaliłem ją, skonstruowałem. Jest najlepsza na świecie, a jej jakość ciągle się poprawia.

Klient Paula do złudzenia przypominał mu nie kogo innego, jak właśnie Edisona. Tych dwóch mężczyzn łączyło przewrotne podobieństwo. Każdy czuł się tak pewny własnego geniuszu, że pogardzał drugim.

Ego Westinghouse'a było równie wielkie, jak jego przeciwnika. Główne jego zadanie uświadomił sobie prawnik, nie będzie polegało na negocjowaniu z Edisonem. Przede wszystkim będzie musiał negocjować z własnym klientem.

– Wiem o tym, proszę pana – odezwał się Cravath. – Tylko co przyjdzie panu z bycia najlepszym, jeśli doprowadzi to pana do bankructwa? Kieruje pan przedsiębiorstwem. Jednym z największych w tym kraju. Przedsiębiorstwo to ma w tej chwili przed sobą różne warianty przyszłości. Wybór należy do pana. A moim zawodowym obowiązkiem jest dopilnować, żeby wybierał pan świadomie.

Grafitowy płaszcz Westinghouse'a wisiał przy drzwiach. Mężczyzna, nie patrząc na Paula, podszedł do nich i wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza złożoną kartkę. Ostrożnie, jakby była czymś znacznie delikatniejszym niż któreś z jego urządzeń, podał ją prawnikowi.

– Pół roku temu – powiedział Westinghouse – napisałem do Edisona. To było, jeszcze zanim pan się pojawił. Zaproponowałem mu właśnie taki „kompromis”. Nie mam romantycznych złudzeń, że odegram rolę Dawida, a on Goliata. Wiem, że nasze szanse są niewielkie. Wszyscy uwielbiają, gdy najśłabszy zawodnik

nieoczekiwanie wygrywa, ale to jeszcze nie oznacza, że warto w niego inwestować. Dlatego napisałem z propozycją, żebyśmy się dogadali. Oto odpowiedź.

Cravath spojrzął na list. Był od samego Thomasa Edisona i składał się z jednego słowa: *Nigdy*.

Westinghouse dał Paulowi trochę na czas na oswojenie się z sytuacją.

– No więc, chłopcze – odezwał się po chwili – podobno jesteś jakimś prawniczym geniuszem. Pokaż, co potrafisz.

*Ja nie poniosłem porażki. Po prostu odkryłem dziesięć tysięcy sposobów,
które nie działają.*

THOMAS EDISON

Rozdział 5

Osobliwy przypadek patentu nr 223 898

Kto wynalazł żarówkę?

Oto kluczowa kwestia. Formalnie proces toczył się pomiędzy firmą Edison Electric Light Company a firmą Mount Morris Electric Light Company, wszyscy jednak wiedzieli, że są to przedsiębiorstwa zależne i reprezentujące firmy-matki. Nawet prawnicy zaangażowani w tę wartą miliard dolarów sprawę nazywali ją po prostu „Edison kontra Westinghouse”. Przedmiot sporu: patent nr 223 898, przyznany Thomasowi Edisonowi 27 stycznia 1880 roku, dotyczący wynalazku „lampy żarowej”. Szybko ochrzczonej przez prasę „patentem na żarówkę”, był bez wątpienia najcenniejszym tego typu dokumentem wydanym w historii Stanów Zjednoczonych. A George Westinghouse został oskarżony o jego naruszenie.

Niemniej jednak, jak Paul zwrócił uwagę swojemu klientowi, nawet tak prosto sformułowane zagadnienie można poddać szczegółowej analizie. W gruncie rzeczy kwestia zależała całkowicie od precyzyjnego zdefiniowania poszczególnych terminów: „kto”, „wynalazł” i, przede wszystkim, „żarówkę”.

Pierwsze lampy elektryczne tak naprawdę zostały wynalezione blisko sto lat wcześniej, jak dowiedział się Cravath, kiedy zaczął badać sprawę. Sir Humphry Davy urządził publiczny pokaz wczesnych „lamp łukowych” w 1809 roku. Podłączając

baterię do dwóch węglowych pręcików, sprawił, że prąd przepływający między nimi utworzył łuk. Eksplozja światła była oślepiająco jasna; idealnie nadawałaby się do oświetlania ciemnych miejsc pod gołym niebem, gdyby udało się ją okiełznać i sprawić, by była bezpieczna i przewidywalna.

A przez kolejnych kilka lat rzeczywiście udało się ją okiełznać. Michael Faraday stworzył pierwsze ręcznie napędzane prądnice elektromagnetyczne w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, poruszając miedzianym dyskiem pomiędzy biegunami magnesu. Belgijski wynalazca o nieprawdopodobnym nazwisku Zénobe-Théophile Gramme ulepszył prądnice Faradaya, po czym stworzył pierwszy silnik elektryczny – budując po prostu odwrotność prądnicy – w latach siedemdziesiątych. W 1878 roku Amerykanin Charles Brush wyposażał już w gigantyczne systemy zewnętrznego oświetlenia łukowego miasta i miasteczka w całym kraju. Po drugiej stronie kuli ziemskiej Rosjanin Paweł Jabłoczkow sprzedawał coś, co nazywał elektrycznymi „świecami”. Znacznie mniejsze niż pierwotne lampy łukowe Davy’ego, ale skonstruowane na tej samej zasadzie, „świecze” te prawie nadały się do używania w pomieszczeniach...

...prawie. Żaden z tych wczesnych wynalazków nie był odpowiedni do stosowania w domu – w końcu żadna żona w Ameryce nie zgodziłaby się na instalację lampy trudnej w obsłudze, wymagającej kosztownych napraw i w każdej chwili grożącej podpaleniem zasłon. Poza tym w grę wchodziła jakość samego światła. Było okropne. Brzydkie. Z tak niewielkiej odległości przykre dla oka. Elektryczność tworząca łuk pomiędzy dwoma pręcikami była jeszcze zbyt surowa. Bijący od niej żar – zbyt gwałtowny. Lampy gazowe pozostawały znacznie bezpieczniejsze i piękniejsze.

I wtedy na scenie pojawił się Thomas Edison, już na tym etapie światowej sławy wynalazca, znany ze swoich prac nad telegrafem i telefonem. Szesnastego września 1878 roku oznajmił na łamach „The New York Sun”, że rozwiązał problem solidnego, bezpiecznego i przede wszystkim przyjemnego dla oka oświetlenia. Wynalazł „elektryczną lampę żarową”. Zapewnił zachwyconych dziennikarzy, że w ciągu kilku miesięcy zainstaluje oświetlenie elektryczne w domach na całym dolnym Manhattanie.

W dniu, kiedy Edison ogłosił swoje odkrycie, akcje wszystkich większych przedsiębiorstw gazowych w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii spadły o ponad dwadzieścia procent. Na środowiskach naukowych wiadomość nie zrobiła aż takiego wrażenia: uczeni odnieśli się do niej najpierw sceptycznie, a potem z nieskrywaną drwiną. To niemożliwe, twierdzili. Nie da się ustabilizować prądu i przepuścić go przez włókno tak, by wytworzyć łagodne, stałe światło. Elektryczność jest niesforna. Nie przypomina oleju naftowego czy łupkowego, naturalnych zasobów stworzonych przez Boga i wykorzystywanych przez człowieka do własnych potrzeb. Elektryczność jest siłą. Okiełznanie prądu elektrycznego byłoby czymś w rodzaju nagięcia grawitacji do ludzkich celów. Są na tym świecie rzeczy, z którymi nie może igrać nawet nauka. „Łagodne światło” Edisona łamało wszystkie powszechnie uznawane prawa fizyki.

Dlatego, jak dowiedział się Paul ze starych gazet, nad którymi ślęczał w swoim gabinecie, słynny wynalazca urządził serię prywatnych pokazów. Zapraszano na nie tylko kilku wybranych dziennikarzy i potencjalnych inwestorów. Ludzi, którzy mieli później zainwestować w przedsiębiorstwo – przyszłe Edison General Electric Company – wpuszczano tylko na kilka minut, żeby obejrzelі sobie zapalone żarówki. Nie widzieli żadnych

projektów. A jednak byli oszołomieni tym, co ukazało się ich oczom w pilnie strzeżonym laboratorium. Pierwszy raz w życiu mieli przed sobą nowy rodzaj światła. Opisywali je z zapartym tchem w swoich gazetach, czasopismach, dziennikach i sprawozdaniach dla akcjonariuszy. Paul przeczytał je wszystkie tej wiosny, dziesięć lat później. Ci ludzie pisali tak, jakby odkryli nowy kolor. I nazwali go imieniem Edisona.

Czwartego listopada 1879 roku, ponad rok po ogłoszeniu swojego wynalazku w prasie, Thomas Edison w końcu złożył wniosek o udzielenie patentu na lampę żarową. Paul miał na biurku kopię tego wniosku i wpatrywał się weń codziennie. Właśnie od niego zależały losy całej sprawy. Jeśli patent pozostanie w mocy, nikt poza Edisonem nie będzie mógł produkować i sprzedawać żarówek na terenie Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Paulowi nie uda się podważyć jego roszczenia, Thomas Edison będzie miał monopol na światło.

Historia wynalazku została wyłożona jasno, patentu udzielono bez kłopotów. Ale w zawodzie Paula żadna historia nie była prosta. Wystarczy minimalna zmiana perspektywy, odrobinę inne rozłożenie akcentów, a opowieść Edisona może wywołać u odbiorcy zupełnie przeciwne wrażenia.

Zatem kto wynalazł żarówkę?

Po pierwsze: „kto”. Edison bynajmniej nie był samotnikiem zamkniętym w swoim laboratorium. Ile osób mu pomagało? Jeśli praca innych została wykorzystana do stworzenia lampy Edisona, to czy ich praca jest jego własnością? Czy też inny człowiek może rościć sobie prawa do części przełomowego dokonania przypisywanego Edisonowi? Co więcej, setki laboratoriów w całych Stanach Zjednoczonych i Europie pracowały nad tym samym problemem – czy to możliwe, że Edison skorzystał z pomysłów, które

powstały gdzie indziej i zostały opublikowane w jednym z licznych popularnych czasopism inżynieryjnych? Kradzież to kradzież, niezależnie od tego, czy dokonano jej z rozmysłem.

Po drugie: „wynałazł”. Czy lampa żarowa Edisona była fundamentalnie nowym wynalazkiem, czy też po prostu ulepszoną wersją wcześniejszego urządzenia? W świetle prawa, żeby patent był ważny, opisany wynalazek musi stanowić istotny przełom. Człowiek nie może po prostu podrasować cudzego przyrządu i ogłosić, że powstała w ten sposób maszyna należy do niego. Musi to być coś naprawdę nowego. Czy Joseph Swan nie uzyskał już patentów na lampy żarowe? A Sawyer i Man? Co odróżniało żarówkę Edisona od pozostałych? Co nadawało jej rangę wynalazku?

Po trzecie: „żarówkę”. Chyba najbardziej podstępne z omawianych słów. Nawet jeśli to Edison rzeczywiście ją stworzył i nawet jeśli w grę faktycznie wchodził wynalazek, to pytanie brzmi – czy istotnie wynalazł żarówkę w ogóle, czy też konkretną żarówkę, jeden z wielu modeli? Przecież typów żarówek może być tyle, ile gatunków róż kwitnących w Central Parku. Co wyróżniało żarówkę Edisona? Prawnicy Edison General Electric Company nie twierdzili, że ich klient jest posiadaczem patentu na jeden określony rodzaj żarówki; utrzymywali, że patent obejmuje wszelkie projekty wszelkiego typu żarówek. Dowodzili, że żadna inna firma nie ma prawa produkować lamp żarowych, bo Edison ma patent na powstałe w ten sposób światło.

Oto sedno sprawy. George Westinghouse, Eugene Lynch czy Elihu Thomson (oraz dziesiątki ich konkurentów) sprzedawali najróżniejsze rodzaje lamp. Te Westinghouse’a były krótsze i miały żarniki proste, a nie skręcone. Żarówki Eugene’a Lyncha wyróżniały się szerszą podstawą – póki nieszczęśliwy wypadek

z płonąącym robotnikiem nie popchnął firmy ku bankructwu. Czyż te wszystkie przedmioty nie należą do nieskończonej i zróżnicowanej kategorii obiektów, które można określić jako „żarówki”? Paul mógłby zasugerować, ostrożnie i jak najbardziej logicznie, że Thomas Edison owszem, opatentował konkretną żarówkę, ale przecież nie może opatentować samej koncepcji żarówki. Może zakazać Westinghouse’owi sprzedaży określonego modelu, nie może jednak powstrzymać konkurencji przed wytwarzaniem jakichkolwiek żarówek.

Samo to nowe, magiczne określenie: „żarówka”. Nikt nie ma pojęcia, skąd się wzięło, kto ukuł ten termin. Wcześniej żarzyć się mogły rozmaite rzeczy, ale „żarówka” jako rodzaj oświetlenia funkcjonuje dopiero od kilku lat, od czasów... cóż, od czasów Thomasa Edisona. Nazwa się przyjęła i jest teraz powszechnie używana. Jednakże obowiązkiem prawnika w sytuacji Paula było zadanie pytania: do czego tak naprawdę odnosi się to słowo? Co sprawia, że coś jest żarówką? W świetle prawa, żeby urządzenie można było objąć patentem, musi ono być „nieoczywiste”. Nie da się opatentować czegoś, co już istnieje – na przykład kanapki z indykiem. Głodni Amerykanie od pokoleń posilają się takimi kanapkami. Ale, co ważniejsze, nie można opatentować także kanapki z indykiem i kiszoną kapustą, nawet gdyby było się pierwszą osobą w Stanach, która wymyśliła tak obrzydliwe połączenie. Mógłby to zrobić pierwszy lepszy pijany kucharz.

Dlatego też należy postawić następujące pytanie: skoro Thomas Edison i jego sztab prawników twierdzą, że patent obejmuje całą koncepcję żarówki, czy nie oznacza to, że w takim razie koncepcja żarówki już wcześniej wisiała w powietrzu? Czyż ludzie od dziesiątków lat nie pracowali gorączkowo nad skonstruowaniem czegoś takiego? Czy inżynierowie i naukowcy nie dyskutowali

nad możliwością stworzenia żarówki już od 1809 roku? Koncepcję żarówki trudno nazwać „nieoczywistą” – co innego konkretny projekt Edisona, rzeczywiście całkiem pomysłowy. Paul zauważył tylko, że praca Edisona nad żarówką była czymś na kształt najwyższej sosny w Appalachach. Niewątpliwie wspaniała i godna uwagi czy wręcz uznania, niemniej pozostająca zaledwie pojedynczym drzewem pośród całego lasu.

Kto w takim razie wynalazł żarówkę? Odpowiedź, zgodnie z tokiem rozumowania Paula, brzmiała: to zależy. W każdym razie zadaniem rządu federalnego nie jest duszenie innowacji w kołysce, zwłaszcza gdy mowa o tak młodej dziedzinie. Stwierdzenie, że Thomas Edison wynalazł żarówkę, szkodzi wolnej inicjatywie. Szkodzi postępowi naukowemu. Gospodarce. Konsumentom. Szkodzi Stanom Zjednoczonym Ameryki.

– Wie pan – odezwał się wreszcie Westinghouse po tym, jak Paul spędził parę godzin głównie na monologu, przedstawiając klientowi swoją strategię – miał pan wtedy rację. Nie przepadam za prawnikami.

Starszy mężczyzna w zamyśleniu popatrzył na słońce, które zachodziło za niskimi oknami laboratorium.

– Ale jak na papugę jest pan całkiem przyzwyczajony.